Jules Neptune – Julia Herok

Rozpadająca się rzeczywistość

Najpierw słyszę szum, jakbym siedziała po turecku w samym środku huraganu, czekając tylko, aż nadlatująca gałąź uderzy mnie w głowę. Jednak to dzieje się tylko w moim umyśle, ponieważ zaraz obok szumu pojawiają się latające świetliki światła, dając mi do zrozumienia, że wcześniej widziałam tylko ciemność. Krążą wokół mnie, poruszane kweresem, albo one poruszają ten rumor? Sama nie wiem i chyba się nie dowiem, bo trwa to ułamki sekundy, mimo że w moim odczuciu minęły minuty czy nawet godziny. Odzyskuję słuch i okazuje się, że owy odgłos to tylko delikatny wietrzyk muskający liście starych drzew. Zaraz potem znów widzę, jednak niewiele więcej niż wcześniej — jak przez mgłę dociera do mnie widok spękanego chodnika, dodatkowo spowitego ciemną poświatą. Uświadamiam sobie, że klęczę podparta na prawym kolanie, więc podnoszę wzrok i próbuję przegnać resztki zaćmienia, jednak było to trochę zbyt pośpieszne, przez co oślepia mnie blask księżyca. Tej nocy wyjątkowo intensywnie świeci, ale może to i lepiej, nigdy nie lubiłam tych późnych godzin spowitych ciężką kurtyną ciemności. „Co tak naprawdę się stało?" zadaję sobie pytanie, jednak po raz kolejny nie otrzymuję odpowiedzi. Powoli przyzwyczajam się do rzeczywistości i widzę coraz więcej szczegółów — plac zabaw zdający się być całkowicie nowy, kontrastujący ze ceglaną kamienicą oraz światłami pobliskiego baru... w tym momencie zdaję sobie sprawę, gdzie jestem — Młodzieżowy Dom Kultury! Zaraz potem do szeregu dołącza kolejne pytanie: „Co ja do cholery robię tu w środku nocy?", a za nim ciarki na plecach i karku. Środek nocy, ulica Stalmacha, niedobrze. Nie mam do nikogo uprzedzeń, ale moje zdrowie fizyczne stawiam wysoko w tabeli moich priorytetów, więc wstaję i chwiejnym krokiem ruszam przed siebie.

Muszę dostać się do mojego mieszkania, a mam przed sobą kawał drogi do przejścia. Ze Stalmacha na Pomnikową zajmie mi to kilkanaście minut. Po raz kolejny zastanawiam się, co jest przyczyną mojej nocnej wycieczki. Nie czuję bólu, więc pobicie nie tłumaczy mojej chwilowej nieświadomości. Czyżbym lunatykowała? Również nie jest to dla mnie satysfakcjonujące wyjaśnienie, nie mam na sobie piżamy, tylko strój, który ubrałabym wychodząc z domu — ramoneskę, jeansy oraz buty na podwyższeniu, pod którymi chrzęszczą suche liście. Może to był spadek cukru? Zwolnienie akcji serca? Wczesny objaw guza mózgu...? Nie dokończam wewnętrznego monologu, bo słyszę ciężkie kroki z lewej strony. Z mijanej przeze mnie ulicy Bończyka wychodzi wysoka postać, więc instynktownie przyspieszam kroku. Widzę go kątem oka, to chłopak ubrany na czarno, z długimi włosami zaczesanymi... Trzask! Pieprzone wysokie buty, przez nieuwagę i zniszczony chodnik z wdziękiem hipopotama upadam na ziemię. Czuję mrowienie w dłoniach, ale zagłusza je adrenalina — teraz ten podejrzany typ ma mnie na wyciągnięcie ręki.

Chcę się poderwać, ale gdy podnoszę głowę, on już jest przy mnie. Na chwilę zastygam, trochę ze strachu, a trochę z... oniemienia? Nieznajomy podaje mi rękę, by pomóc mi wstać. Patrzę jeszcze przez parę sekund, ale nim zdążę zareagować, słyszę.

— Nogi zawiodły, ale ja tego nie zrobię. — Jego głos jest lekko zachrypnięty, ale brzmi młodo. Przez ulotny moment mam wrażenie, że skąś go kojarzę i strach zaczyna puszczać moje gardło, co nie zmienia faktu, że nie podaję mu ręki i z lekkim trudem wstaję z ziemi samodzielnie.

— Jak zawsze uparta — mówi z cynicznym uśmieszkiem. Jak zawsze? O co mu do cholery chodzi. Ruszam przed siebie nie oglądając się na niego, jednak słyszę, że podąża za mną.

— Spadaj — rzucam przez zęby, na tyle cicho, że nawet nie wiem, czy mnie słyszy. W takim czy innym wypadku, on nic sobie z tego nie robi i ochoczo depcze moim śladem. Znów czuję, jak pulsuje mi krew żyłach, szczególnie w tętnicy szyjnej. Już prawie biegnę, gdy on znowu się odzywa:

— Dziewczyno, jest środek nocy, a ty chcesz sama wracać do domu? Pozwól się odprowadzić.

— Nie chcę eskorty, a poza tym, kim ty w ogóle jesteś? — Odwracam się gwałtownie i staję z nim oko w oko. On cofa się o krok, bo prawie na mnie wpadł, odgarnia czarne włosy z czoła i rozgląda się trochę niepewnie. Po raz kolejny budzi to we mnie niewytłumaczalne uczucie, jakby muśnięcie z przeszłości...

— Kimś, komu zależy, by ta laska w za wysokich butach dotarła do domu.

Stoimy przez chwilę, nie odzywając się do siebie, a ja świdruję go wzrokiem. Nie wydaje się groźny, wręcz przeciwnie, w jego postawie jest coś... dziecinnego? W jego oczach odbija się światło latarni, pod którą jesteśmy, oświetla mocne brwi, które kontrastują z wąską szczęką. Ma schowane w kieszeniach dłonie, przez co wygląda jak dzieciak, który zbił ulubiony wazon mamy, jednak winą obarcza kota.

— Dobra, ale nie podchodzisz bliżej niż na półtorej metra — mówię stanowczo, bardziej stanowczo, niż miało to zabrzmieć.

Rozpromieniony on i poddenerwowana ja ruszamy przed siebie. Raz po raz rzucam na niego okiem, jednak nic podejrzanego się nie wydarza, więc z każdą chwilą czuję się coraz pewniej.

— Jak się w ogóle nazywasz? — pytam, by przerwać ciszę.

— Jacek. A ty?

— Martyna.

Jacek. Martyna. Martyna. Martyna... W mojej głowie przez chwilę coś się zacina i bez mojej kontroli imię przenika moje myśli, jakby z oddali ktoś puszczał je na zepsutej płycie. Nieprzyjemne uczucie mija dopiero po chwili, kiedy wyrywa mnie z niego chropowaty głos Jacka:

— Chodźmy tędy — Wskazuje ręką ulicę Ogrodową. W oddali zieleni się szyld apteki, mieszający się z żółtymi latarniami. W tym czasie słyszę dziwny dźwięk, jakby przejeżdżające auto widmo, mimo że żadne do tej pory nas nie minęło.

— A skąd ty w ogóle wiesz, gdzie chcę iść — po raz kolejny lekko mu pyskuję, gdyż nie wiem, jak inaczej wyrazić buzujące we mnie zdziwienie.

— Intuicja. — Uśmiecha się, odsłaniając górne zęby, znów przypominając mi niesfornego chłopczyka.

Wzdycham i nic więcej nie dodaję, po prostu idę za nim, gdyż otaczające mnie bloki dodają mi odwagi. Są tam ludzie, którzy mogą mi pomóc, wystarczy, że krzyknę.

Ta noc jest niesamowicie niewzruszona. Nikt oprócz nas nie spaceruje, nikt nie pije wódki, budząc swoim krzykiem całą ulicę, nawet bezdomni się gdzieś pochowali. Kroczymy w milczeniu, które chyba żadnej stronie nie przeszkadza, bo o czym w końcu mówić? O braku gwiazd spowodowanym zanieczyszczeniem świetlnym, o cieple jesiennej nocy, tym, kim jesteśmy czy może jak tu się znaleźliśmy... Kiedy to pytanie przebiega mi przez głowę, czuję wręcz namacalny ból i przykładam dłoń do prawej skroni. Syczę przez zaciśnięte zęby i chwilowo tracę równowagę.

— Nic ci nie jest? — pyta Jacek i łapie mnie za ramię, bym nie upadła. Jeszcze przez chwilę nie odpowiadam, oszołomiona nagłym uściskiem w czaszce, które zaczyna stopniowo ustępować.

— Jest okej— lekko bełkoczę i robię krok w tył. Mimo że chciał mi pomóc nie zamierzam zbliżać się bardziej, niż to półtorej metra, które mu wyznaczyłam. Powoli ból przestaje ćmić, staję więc pewniej na nogach i patrząc w jego zmartwione oczy pod ściągniętymi brwiami, deklaruję:

— Mówię serio, możemy już iść dalej.

Mój dobitny ton po raz kolejny go przekonuje i znów ruszamy przed siebie.

Krok za krokiem stawiam stopę jedną za drugą, a droga zlewa mi się w plamę wypełnioną żółto-białym światłem, zapachem suchych liści oraz dziwnym acz przyjemnym otępieniem. Nawet nie wiem, kiedy docieramy na skraj Parku Roth, ba, nawet nie zastanawiam się, czy wybraliśmy najkrótszą drogę z możliwych. Mój umysł wydaję się ciężki, jakby był pełen ciemności, której nabrał z tej wrześniowej nocy lub jakby mój mózg stał się tak miękki, że rozlał się po czaszce, już nie do użytku. Znajduję się w stanie gdzieś pomiędzy tym a tym, a z owego rozkosznego zagmatwania po raz kolejny wyrywa mnie Jacek wyciągając w moją stronę otwartą dłoń.

— Chcę pójść na plac zabaw.

Patrzę na niego i mimo że widzę i czuję jak za mgłą, sens jego słów wydaje mi się daleki od normalnego zachowania dorosłej osoby. Jest środek nocy, jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi, a on wpada na taki pomysł. Znów podchodzę do niego sceptycznie, lecz nie umiem odeprzeć wrażenia, że to przemawia jego wewnętrzne dziecko, nie fizyczny dorosły. Patrzy na mnie przez chwilę ze schyloną głową, by zaraz spuścić wzrok i zacząć grzebać butem w ziemi.

— I co ja mam ci na to odpowiedzieć?

— Może dać sobie przyzwolenie na to, by wykorzystać fakt, że i tak łazimy po nocy w tym umarłym mieście i pozwolić sobie na coś bardziej...innego? — Unosi wysoko brwi i prowokacyjnie krzyżuje ręce odchylając się lekko do tyłu.

Jest to głupota, ale owa głupota ma w sobie trochę racji. Nikt nie powiedział, że coś niedorzecznego nie może mieć sensu, tak jak w sytuacji, gdzie szalona teoria naukowa okazuję się być prawdą. Skinieniem głowy potwierdzam, że przystaję na tę formę głupoty, bo przynajmniej jest ona moja, niepodyktowana niczyimi pomysłami na jej temat.

Cicho stąpamy przez park, który wydaje się jeszcze ciemniejszy niż ulica. Jesteśmy szczególnie ostrożni, chyba z obawy przed obudzeniem bezdomnych, którzy mogą czaić się w zakątkach pobliskiego starego szpitala. Kiedy docieramy już do placu zabaw położonego mniej więcej na środku parku, odkrywamy, że furtka jest zamknięta. Podjęcie decyzji o przeskoczeniu przez płot nie zajmuje nam długo — Jacek swoimi chuderlawymi rączkami podnosi mnie, by pomóc mi się przedostać. Lądуję z trudem, prawie się przewracając, a on prędko znajduje się obok mnie, po czym patrzymy na siebie przez chwilę i po naszych twarzach przemyka cień speszonego rozbawienia, który pojawia się przy łamaniu przepisów. Ja wybieram huśtawkę, a on zjeżdżalnie. Siadam na niej i zaczynam się bujać, góra, dół, góra, dół, aż prawie spadam za każdym razem, gdy huśtam się wprzód. Wydaje mi się, że moje otępienie znów minęło, jednak przebłysk klarowności nie trwa długo, gdyż uderza mnie całkiem inna fala. Mrużę oczy, bo mam wrażenie, że oślepia mnie światło dzienne, jednak przez wpół zaciśnięte powieki na swoich stopach nie widzę już butów na platformach, tylko czarne, dziecięce buciki zapinane na rzep. Lśnią, jakby ktoś przed chwilą je wypolerował i idealnie komponują się z białymi skarpetkami sięgającymi powyżej moich kostek. Bujam się do przodu i do tyłu, porwana pędem, a w głowię powtarzam jak mantrę: „Do nieba, do piekła, do nieba, do piekła...”. Gdzieś z daleka słyszę jeszcze pisk, ale to ostatnia część mojej nietypowej wizji, bo w tym momencie powracam do rzeczywistości. Nie jestem w stanie określić, ile to trwało, ale przez ten cały czas jak w transie musiałam huśtać się w tę i z powrotem, gdyż nie zatrzymałam się. Robię to dopiero teraz, by wziąć głęboki oddech i przetrzeć moje wadliwe oczy. Serce znów bije mi bardzo szybko, a czoło i dłonie zlał zimny pot. Coś naprawdę niedobrego dzieje się z moim mózgiem, chyba czeka mnie wizyta u jakiegoś specjalisty… Na szczęście tym razem Jacek niczego nie zauważył, bo był zbyt zajęty oglądaniem widoku rozciągającego się spod drewniano-metalowej wieżyczki. Jakby wyczuwając moje spojrzenie, odwraca się do mnie i przywołuje skinieniem dłoni. Niepewnie schodzę z huśtawki, by wejść na wieżę i stanąć obok niego. Wdrapuję się po drewnianych schodkach i kiedy już tam jestem, nie widzę nic odmiennego — owszem, perspektywa się zmieniła, jednak widok wcale mnie nie zaskoczył. Ten sam plac zabaw, te same kręte uliczki z nierówno rozmieszczonymi drzewami, ten sam niedaleki staw iskrzący się w oddali. Opieram się na barierce obok Jacka i znów

na niego spoglądam. Tym razem wydaje się być bardziej poważny, ma zamyślony wyraz twarzy, ale gdy podejmuje kontakt wzrokowy i delikatnie się uśmiecha.

— Bawiłem się tu za dzieciaka — mówi cicho, a z jego głosu można wyczytać nutę nostalgii.

— Ja też — odpowiadam bynajmniej nie głośniej — mogliśmy się kiedyś minąć.

— Jestem tego prawie pewien.

Milczymy przez chwilę, by posłuchać odgłosów nocy, lecz ona jest prawie martwa. Martwi mnie mój stan — coś musi być bardzo nie w porządku, skoro nie pamiętam, jak znalazłam się tak daleko od domu, w środku nocy, a do tego mam dziwne odczucia i prawdopodobnie halucynacje. Zaczynam zastanawiać się, kim będę, jeśli stracę swój umysł. Człowiek to tylko zbiór myśli, czasem wypowiedzianych, czasem wyrażonych w czynach, a czasem zostawionych całkowicie dla siebie. Te pozostawione we wnętrzu po śmierci przepadają na zawsze, bo tylko ich właściciel jest ich świadkiem — może dla niektórych, a nawet większości to lepiej, bo ludzka głowa może stworzyć zbyt wiele okazji do wstydu. Po rozpadnięciu się umysłu rozpada się zbiór, myśli dezintegrują się, by nie powielać na mowę czy zachowanie, by świat fundamentalnie zmienił się, stracił coś lub zyskał, jednak nigdy już nie był tym, jakim widzą go inni. Na gardle zaciska mi się stalowa pięść, a czoło wilgotnieje, jednak umysł nie przestaje zadawać pytań. Kwestionuję to, co realne, kwestionuję rzeczywistość, bo kwestionuję własną ocenę, a bez obiektywnej oceny nie mogę wiedzieć, co dzieje się naprawdę, a co wymyślam sama. Patrząc głębiej, nic mogłoby nie być prawdą… Myśl ta przyprawia mnie o zawrót głowy, oczy zaczynają mnie piec od nadchodzących łez, bo zaczęłam się bać, nie pierwszy raz tej nocy, ale tym razem najbardziej szczerze, z największą intensywnością. Mój oddech wytrąca się z rytmu, zaciskam palce na barierce wbijając paznokcie w drewno. Wtedy na swoim ramieniu czuję lekki uścisk dłoni Jacka, a on mówi łagodnie:

— Co się dzieje?

Odwracam do niego twarz, a on przygląda mi się badawczo, jednak nie z tym rodzajem krytycznego doszukiwania się czegoś we mnie, tylko zaniepokojeniem, chcącym zrozumieć drugiego człowieka. Jestem przekonana, że znam już jego oczy, że znam już to spojrzenie, ale nie przypominam sobie nic na ten temat, co napawa mnie frustracją, a nawet i smutkiem, więc łzy szybko staczają się po moich policzkach.

— Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale ja się po prostu boję. Chyba mam coś nie tak z mózgiem, chyba ze mną jest coś nie tak, bo ja nie pamiętam z dzisiejszej nocy prawie nic, aż do momentu, gdy się zobaczyliśmy — mówię szybciej, nim zdążę się zastanowić, a co parę słów biorę urywany oddech. — Boję się tego, co myślę, boję się przestać myśleć, ale chcę wyhamować, lecz nie mogę i czuję, że zaraz się rozbiję.

Milknę na chwilę, by zobaczyć jego reakcję, bo zaraz po wypowiedzeniu tych słów zaczynam ich żałować. On jednak nic nie mówi i tylko kiwa głową, co zachęca mnie do kontynuowania:

— Nie chcę byś miał mnie za wariatkę, chociaż może to być nawet słuszne patrząc na mój stan… W tym momencie nie potrafię już nawet klarownie myśleć.

— Teraz po prostu spróbuj oddychać w moim rytmie, okej? — pyta, a ja przez chwilę nie wiem, czemu ma to służyć, lecz ulegam i potakuję.

Jacek bierze głębokie wdechy i wydechy, a między każdym z nich robi parosekundową przerwę. Dopiero po paru cyklach jestem w stanie dostosować się do niego, ale kiedy w końcu mi się to udaje, napięcie powoli maleje. Trwa to parę minut, ale wracam do siebie, natrętne myśli przestają mnie uderzać, a ciało uspokaja się.

— Dziękuję — mówię i wycieram mokre policzki dłońmi.

Przygląda mi się jeszcze przez moment, prawdopodobnie szukając ostatnich objawów mojego ataku paniki, jednak, kiedy ich nie znajduje, z pewną dozą wahania, a nawet nieśmiałości, oznajmia:

— Chciałem ci coś jeszcze pokazać, ale to chyba nie jest dobry moment na to…

— Nie, wcale tak nie jest, możemy tam pójść — protestuję. — Skoro i tak ta noc jest pokręcona, to czemu nie może być bardziej?

Posyłam mu zmęczony uśmiech, jednak on ma dalej kamienną minę. Kiedy już mam powtórzyć, że chcę tam pójść, on odwraca się i schodzi po szczeblach, twardym tonem sprowadzając mnie na ziemię:

— Chodźmy już w stronę twojego mieszkania.

Stoję i nie rozumiem, co się zmieniło. Ten sam chłopak, który jeszcze jakieś pół godziny temu stwierdził, że pójście na plac zabaw w środku nocy jest świetnym pomysłem, teraz nagle wydoroślał i ma zamiar podejmować rozważne decyzje? Czuję pewną dozę wdzięczności względem niego, a oprócz tego zwyczajnie mnie zaciekawił, więc chcę pójść i zobaczyć to „coś", o którym on mówił. Schodzę po drabinkach najszybciej i najpewniej jak potrafię, by pokazać mu, że czuję się na siłach, by to zrobić, po czym staję naprzeciwko niego i patrzę mu w oczy.

— Jacek, chcę tam pójść.

Spuszcza wzrok i pewnie analizuje to, co mu właśnie powiedziałam. W końcu, po chwili czekania, spogląda na mnie badawczo po raz ostatni i mówi:

— W porządku, ale jakbyś źle się poczuła, masz mi to od razu mówić, a wtedy odprowadzam cię prosto do domu.

Jestem trochę zadowolona z siebie, że potrafiłam przekonać go do zmiany decyzji.

Drugi raz przeskakujemy przez ogrodzenie i ruszamy przez park. Znów nastała cisza, przerywana tylko stukaniem moich butów, lecz teraz nie czuję poprzedniego otępienia. Z pełnią ostrości swojego umysłu kroczę u boku Jacka przez raciborskie ulice. Między miejscem, do którego zmierzamy, a parkiem mija nas tylko jeden samochód — jego światła przez chwilę nas oślepiają,

rażąc oczy przyzwyczajone tylko do lekkiej poświaty szyldów oraz latarni. Z piskiem opon przejeżdża obok nas, nawet nie zdążam zobaczyć twarzy kierowcy i nie wiedzieć czemu, przez ułamek sekundy to auto wręcz mnie przeraża. Jednak jestem w stanie szybko otrząsnąć się z tego uczucia, bo obecność Jacka daje mi pewną dozę bezpieczeństwa.

Mój towarzysz zatrzymuje się nagle w pół drogi i uświadamia mnie, że to tu. Nie widzę tu nic szczególnego we wlocie na podwórko, znajdującym się zaraz obok Banku Śląskiego. Rozglądam się, lecz wciąż nic ciekawego nie widzę — bywałam tu setki razy, na przykład w drodze na zakupy w Kauflandzie czy pobliski dworzec autobusowy. Jacek, zdając sobie sprawę z mojego skonsternowania, wyciąga z kieszeni swój telefon i włącza w nim latarkę. Na ekranie zdążyła mignąć mi tapeta przedstawiająca jakiegoś brązowego szczeniaczka oraz godzina druga dwadzieścia osiem. Mimo, że przedtem tego nie sprawdzałam, aż tak późna pora wcale mnie nie dziwi.

— Przeczytaj ten napis — rozkazuje mi Jacek, wchodząc do zaułka i świecąc prosto na ścianę. Czarne litery są lekko niezgrabne, w pewnym stopniu przysłonięte farbą i innym, niebieskim graffiti. Mimo to wciąż da się odczytać napis:

„Reality is good for people who can't do any better"

Wydaje mi się, że to cytat z jakiejś piosenki, a może filmu, ale sama nie jestem tego pewna, dlatego pytam Jacka:

— I co to ma oznaczać?

—Rzeczywistość jest dobra dla ludzi, którzy nie potrafią zrobić nic lepszego.

—Przecież umiem angielski, chodzi mi o to twoje filozoficzne znaczenie tego miejsca.— Przewracam oczami, a Jacek uśmiecha się zawadiacko. Wie, że mnie zdenerwował, a do tego jak widać go to bawi.

Nie odpowiada mi przez moment, więc uznaję, że szuka odpowiednich słów na ubranie tego, co ma na myśli. Powoli, jakby każde słowo miało jakąś szczególną wartość, mówi:

— Może to zabrzmi głupio, ale czuję tu pewne… zrozumienie od osoby, która to napisała. Nawet nie wiem, kim była i w jakich stało się to okolicznościach, jednak nie czuję się wtedy tak samotny i zagubiony w realności, w której ciężko czasem żyć.

W duchu przyznaję mu rację, jednak utrata kontaktu z światem rzeczywistym bywa równie bolesna. Miałam okazję doświadczyć tego dziś i nie chciałabym, by te stany przewijały się w moim życiu.

Jacek wydaje się teraz nad wyraz smutny — ramiona niepewnie skrzyżował na piersi, a wzrok wbił w ziemię. Światło z latarki jego telefonu oświetla już tylko jego ciężkie buty. Z jego postawy wyczytuję, że chyba mój brak entuzjazmu co do tego miejsca napawa go zawstydzeniem, więc wypalam:

— W pewnym stopniu rozumiem, co masz na myśli, nie jest łatwo odnaleźć się w ludzkim świecie.

— Ta, jest okropnie ciężko — wzdycha. — Chodźmy już stąd.

Wyłącza latarkę, a ja kątem oka znów widzę godzinę, tym razem jest to już, ku o mojemu o wiele większemu zdziwieniu, czwarta dwanaście. Ignoruję to jednak, racjonalizując, że mogło mi się przywidzieć.

Czuję rozlewające się po ciele poczucie winy i żalu, że nie mogłam podzielić z nim tego zachwytu owym napisem, jednak z trudem przychodzi mi udawanie, a szczególnie w takim stanie, w jakim jestem teraz. Niby noc ma oddawać inny, głębszy klimat i może by tak było, gdyby zmysły nie płatały mi takich figli jak teraz, więc dodatkowe myślenie o wręcz mistycznym sensie rzeczywistości, jej postrzegania i odnajdywania się w niej, niekoniecznie mogłyby mi posłużyć.

Jacek rusza, nie oglądając się na mnie, co wydaje mi się zachowaniem trochę niedorzecznym. Nie musi zachowywać się w taki sposób z powodu tego, ze nie padłam na kolana przed jakimś koślawym graffiti. Idę o krok za nim i nic nie mówię, gdyż się zawiodłam i na tym specjalnym „czymś" i na nim. Zauważam przy tym, że ból z boku głowy powraca. Na początku nie wiem, czy nie wmawiam sobie tego. Przypomina mi to wóz strażacki, pędzący z nie wiadomo jakiego kierunku — najpierw wydawać się może, że to tylko rozkojarzony wytwór wyobraźni, ale on tylko przybiera na sile, zamiast się rozmyć, aż w końcu trzeba ustąpić mu miejsca i zjechać ze swojego pasa. Jednak tym razem ja pozostaję na swoim pasie, ponieważ nawet nie mam wyboru co do tego. Mimo to ból nie uderza we mnie jak rozpędzony wóz strażacki, ciągle jestem ten jeden metr, jedną sekundę od uderzenia, więc zadaję sobie pytanie, co byłoby bardziej nieznośne — ostateczny cios czy czekanie na niego? Kolejne rozmyślanie, znów bez odpowiedzi.

Idę więc po swoim torze, krok za Jackiem, nie spuszczając wzroku z jego pleców, jednak kątem oka wciąż obserwuję otoczenie, które zmienia się nieustannie. Otępienie wraca, dotykając już nie tylko moich myśli, ale i ciała — staje się ono lekkie, a ja już nim nie steruję, ono mechanicznie stąpa na przód. Nie jest to już dla mnie ważne, tak naprawdę nic już nie jest, bo w głowie i sercu mam pustkę.

Nie przechadzamy się już środkiem miasta, tylko wzdłuż Odry. Na horyzoncie nastaje świt, niestety ukryty za lasem znajdującym się za Auchanem, którego czerwony napis i pusty parking wyróżnia się na owym tle. Widzimy to z dość sporej odległości, gdyż z wałów zeszliśmy aż do samego brzegu rzeki. Bije od niej chłód, który zdaje się uśmierzać rwanie w mojej czaszce. Ta rzeka nie szumi, jej nurt jest zbyt wolny, by wydawała jakikolwiek dźwięk, a przynajmniej w tym miejscu całkowicie milczy. Jacek stoi bliżej wody i chyba przegląda się w niej, zachowując się prawie tak, jakby mnie tam nie było. Nagle, spina wszystkie mięśnie i wskakuje do wody, więc instynktownie biegnę w jego stronę i wpadam pod powierzchnię razem z nim.

Otwieram oczy i orientuję się, że siedzę na rynku. Słońce jest w zenicie i roztapia loda, którego musiałam właśnie jeść. Przypatruję się otoczeniu, ale coraz mniej rozumiem. Nieopodal jakieś dziecko goni gołębie, które są przestraszone tylko w lekkim stopniu, przyzwyczajone do takich przygód dnia codziennego. Prawdopodobnie z ulicy Długiej dobiegają mnie dźwięki gitary i czyjegoś, trochę nieczystego śpiewu. Niebo jest bezchmurne i ma głęboką, niebieską barwę, tak głęboką, że w nią wsiąkam, ale trwa to tylko chwilę, bo czuję ciągnięcie za rękaw kurtki. Odwracam głowę w tamtą stronę i widzę ciemnowłosego chłopczyka. Zamieram, bo chłopiec ten to mała wersja Jacka, jestem tego pewna. „Świruję" przechodzi mi przez głowę i w tym samym momencie zgniatam wafelek w mojej dłoni. Część lodów upadła na ziemię, a część ścieka po mojej ręce, a widok ten najwyraźniej bawi małego Jacka, bo zanosi się śmiechem.

Znów wszystko się zapada, a ja wracam do punktu wyjścia. Huragan w mojej głowie dmie ponownie, rozganiając świetlne promyki we wszystkie strony. Jest głośny, prawdopodobnie chce rozerwać mi bębenki, ale nie mam nad tym kontroli, bo mnie nie ma, ja tylko postrzegam ten surrealistyczny twór.

„Martyna" mówi czyjś chropowaty głos.

Martyna. Tak, Martyna to moje imię, to mnie ktoś woła! Powoli otwieram oczy, a świat wychodzi jak z tunelu. Z każdą milisekundą mój kąt widzenia się powiększa, a kolory z szarych nabierają intensywności. Chyba pytam, co się stało, jednak nie mam co do tego pewności, bo moje słowa są niezwykle ciche.

— Spokojnie, jesteśmy w szpitalu, jakiś wariat potrącił cię na pasach, ale już jesteś bezpieczna.

Więc cała noc to tylko wytwór mojego naszpikowanego środkami przeciwbólowymi umysłu.

To ma sens. Sens większy niż nocna głupota, niż plac zabaw, niż ten filozoficzny napis, niż rozpadająca się rzeczywistość.